

Trocadero, nie tak daleko od Concorde

Trudno było ostatnio nie zwrócić uwagi na nowelę francuskiej konstytucji, choćby tylko z racji rozmachu i ceremonialnej formy, jaką z premedytacją nadano temu wydarzeniu.

Właściwą oprawę zapewniła ciężka i monumentalna Sala Kongresowa, zbudowana w XIX wieku w południowym skrzydle Pałacu Wersalskiego, niewiele zaiste mająca wspólnego z wyrafinowanym gustem Ludwika XIV. Zgodnie z polityczną intencją Emmanuela Macrona zadbano zarówno o pompatyczność samej celebry posiedzenia obu izb francuskiego parlamentu, jak i o patos wygłoszonych tego dnia w Wersalu mów okolicznościowych. Pani Yaël Braun-Pivet – przewodnicząca Zgromadzenia Narodowego zwróciła się nawet ze specjalną inwokacją do kobiet Francji i całego świata: „Kobietom we Francji mówimy – nigdy już nie cofniemy dziś ogłoszonej wolności! Kobietom całego świata mówimy – będziemy stać u waszego boku!” Sam Macron wystąpił tego dnia z jeszcze mocniejszym uniwersalistycznym przesłaniem. Uroczyście zaręczył, iż on sam nie spocznie dopóty, dopóki wszystkie kobiety świata nie otrzymają takiej samej wolności jak ta, którą tego historycznego dnia – 4 marca 2024 roku Republika Francuska konstytucyjnie zagwarantowała swoim obywatelkom.

Jak wiadomo, owa wolność, gwarantowana odąd artykułem 34 francuskiej konstytucji – to wolność przerywania ciąży. Media całego świata bodaj tysiąckrotnie powtórzyły, że Francja jest pierwszym i jedynym krajem na naszym globie, który wolność dokonywania aborcji zaliczył w poczet

konstytucyjnych praw fundamentalnych. W sensie praktycznego, permissywnego ustawodawstwa aborcyjnego, jakie obowiązuje w tym kraju, wraz z nowelą konstytucyjną nic się naprawdę nie zmieniło. Ale to tylko pozór, jeśli na rzecz spojrzeć kategoriami republikańskiej polityki oraz rewolucyjnej ideologii. Oto przecież, dzięki tej noweli konstytucyjnej, Francja znów pokazuje się światu jako latarnia postępu, a Francuzi – jako naród wskazujący całej ludzkości nowe horyzonty wolności! Zaś sam Macron, ze swym uniwersalistycznym przesłaniem, może się jawić niczym jakiś nowy Saint-Just (nie bez przyczyny zwany na przemian a to „Mesjaszem Ludu”, a to „Aniołem Śmierci”), wywodzący podczas procesu Ludwika XVI, że tylko zadawanie śmierci jest skutecznym środkiem gwarantującym powszechny postęp wolności. W Paryżu z premedytacją zrobiono wszystko, aby uzyskać efekt rewolucyjnego „patosu nowości”, zmuszając zarówno uczestników, jak i obserwatorów wydarzenia 4 marca do skojarzeń z najbardziej patetycznymi momentami Rewolucji Francuskiej. To Hannah Arendt napisała swego czasu owo trafne zdanie, wedle którego samym sednem tamtej rewolucji było wytworzenie „patosu nowości, gdzie nowość została złączona z ideą wolności”. „Wyrażało się to w nieustannie powtarzanym przekonaniu, że nic podobnego pod względem wielkości i znaczenia nie wydarzyło się jeszcze w całej udokumentowanej historii rodzaju ludzkiego” – pisała Arendt w eseju „O rewolucji” [wyd. 2003, s.38].

Macron, borykający się ostatnio z przygniatającymi go przeciwnościami codziennej polityki, postanowił zafundować teraz właśnie Francuzom (a w jego intencjach również całemu światu) taką właśnie powtórkę z historii. I wywołał w ten sposób nieklamane poruszenie. Co tu zresztą dużo mówić! Tego rodzaju ceremonialna proklamacja wolności zabijania, i to wystylizowana na milowy krok w dziejach pochodzenia idei wolności, jest bez wątpienia aktem precedensowym, a więc zasługującym na swą patetyczną oprawę. Echo paryskiego 4 marca rozległo się więc nie bez przyczyny po całym świecie. A i w Polsce, tak przecież zawsze wrażliwej i odpowiadającej z

entuzjazmem na każdy paryski poryw wolności, odzew i tym razem był wyraźny, w postaci ostro sformułowanych politycznych żądań: „Wolność aborcji natychmiast!” i „Precz z Hołownią!” Udała się też Macronowi świadomie zaprogramowana konfrontacja paryskiej proklamacji z regresem wolności aborcyjnej, następującym w Ameryce po ubiegłorocznym orzeczeniu tamtejszego Sądu Najwyższego. W preambule do aktu wydanego w Wersalu napisano, że swoboda aborcyjna jest jednym z „tych praw i wolności, które dla nas są najcenniejsze, a mogą zostać zagrożone”. I nie było chyba na świecie komentatora, który nie pojąłby aluzji: to Rewolucja Francuska po raz kolejny okazuje swą postępową i wolnościową wyższość nad Rewolucją Amerykańską.

Wiele światowych mediów opublikowało charakterystyczne zdjęcie, zrobione przez fotografa Adnana Farzata w dniu 4 marca na Placu Trocadero. Tam ustawiony został wielki ekran, na którym na żywo pokazywano bieg zdarzeń w wersalskiej Sali Kongresowej. Na tej fotografii w tle widać monumentalną statuetkę marszałka Focha na koniu, a przed nią wielki tłum ludzi oglądających widowisko – młodych, ładnych, podnieconych dziejącym się na ich oczach „patosem nowości”. Z tego tłumu profesjonalny fotograf wyluskuje na pierwszy plan roześmianą dziewczynę z zaróżowionymi z emocji policzkami i stojącego obok niej chłopaka, który spuścił z uszu słuchawki i entuzjastycznie bije brawo. Pod zdjęciem podpis: „Moment, który zelektryzował Francję”. Przypatrywałem się jakiś czas tej fotografii, a nawet skopiowałem ją sobie do pamięci laptopa. Przez chwilę zdawało mi się nawet, że jakaś, choćby cząstkowa empatia wobec radości ludu z Trocadero, a także jego dumy z Francji jako latarni postępu, mogłaby być kluczem do zrozumienia współczesności, przyznając – czasem coraz trudniejszej do pojęcia.

I wtedy przypomniałem sobie niegdysiejsze odwiedziny w paryskim Hôtel Carnavalet, koło Bastylii, gdzie mieści się Muzeum Historii Paryża. Zapamiętałem stamtąd niewielkich rozmiarów kolorową akwafortę nieznanego artysty z ostatniej dekady XVIII wieku, zatytułowaną „Fin tragique de Marie Antoinette d'Autriche - Reine de France, exécutée le 16 Octobre 1793”. Grafika utrwala moment, kiedy kat wymachuje przed ludem obciętą dopiero co głową królowej. To jedno z licznych przedstawień sceny ścięcia Marii Antoniny na Placu Concorde, które jednak różni się tym, że rusztowanie, ze stojącą nań gilotyną, ustawione jest tak, iż w dole obrazu otacza je grupa widzów. Nieco późniejsze grafiki przedstawiają tę scenę trochę odmiennie, z otaczającymi rusztowanie równymi rzędami żołnierzy, ubranych w odświętne mundury, ale wyzbytymi twarzą i gestów. Tymczasem na grafice z Carnavalet można zobaczyć jakichś urzędników, którzy z radości podrzucają w górę kapelusze; jakiegoś mężczyznę z emocją nakazującego patrzeć dziecku na chybczącą się głowę królowej; jakąś kobietę przybraną w strój imitujący republikański antyk, ekstatycznie wznoszącą rękę. Słowem – widać zbiorowisko ludzi, którzy nie są li tylko gapiami, ale przedostali się aż pod samo rusztowanie podekscytowani dziejącym się rewolucyjnym „patosem nowości”: oto po raz pierwszy wolno po prostu zabijać królowe!

Obrazy paryskiego ludu z 16 października 1793 oraz 4 marca 2024 dzielą przeszło dwa stulecia. Ale od Placu Concorde do Placu Trocadero nie jest tak daleko, raptem jakieś pół godziny spacerkiem, wzdłuż bulwarów Sekwany. Ta bliskość miejsc wydała mi się teraz o wiele ważniejsza, niżli odległość czasu. Świadom jestem, że takie zestawienie tych dwóch paryskich obrazów zmusza mnie jednak do poczynienia pewnej koniecznej dygresji. Nigdy nie uważałem za potrzebne rozgłaszać, ani uzasadniać publicznie moich przekonań na temat aborcji. Ale muszę tu, choćby w zdawkowej formie, odejść od tej reguły, w przeciwnym bowiem razie zostałbym – nie bez racji – przez Czytelników zakwalifikowany jako fundamentalista. Otóż jestem od czasów młodości

intelektualnie przywiązany do stylu myślenia o tej materii właściwego Tomaszowi z Akwinu, z drugiej części jego *Summy contra gentiles*. W ślad za nim mam mocne przekonanie o duszno-cieleśnej integralności człowieka, a co za tym logicznie idzie – o ścisłej więzi pomiędzy duchowym człowieczeństwem a ukształtowaną cielesnością. Jedno zapewne bez drugiego w rzeczywistości tego świata nie może istnieć, więc i płód ludzki wymaga cielesnego ukształtowania, aby mógł być człowiekiem. Dlatego różnica pomiędzy uśmierceniem zarodka ludzkiego i zabiciem człowieka wydaje mi się rozumowo oczywista.

Nie mogę jednak zupełnie pojąć innej rzeczy. Tej, iż w ogóle ktoś na świecie mógł jako pierwszy pomyśleć, iż wolność zabijania jako taka – obojętne: człowieka, płodu ludzkiego, zwierzęcia, albo i nawet dokuczliwej muchy, może zostać uznana za ludzkie bądź obywatelskie konstytucyjne „prawo fundamentalne”. Czyli postawiona obok i na równi z wolnością słowa czy sumienia. W patrzeniu na wspólnotę polityczną nie jestem ani marzycielem, ani tym bardziej utopistą. I jestem świadom, że zabijanie, w skrajnych przypadkach nawet ludzi (*vide* dzisiejsza Ukraina) jest nieuniknioną, ponurą koniecznością naszego biologicznego i wspólnotowego życia. Nie wierzę, byśmy się mogli od tej konieczności kiedykolwiek uwolnić. To jednak nie ma nic wspólnego z faktem, iż jednak nie potrafię wzbudzić w sobie żadnej empatii wobec rozradowanego ludu z Trocadero czy Concorde. Lud świętujący rewolucyjne zaprowadzenie wolności zabijania, jako swego prawa fundamentalnego, budzi we mnie grozę. A im ładniejszy ten lud i bardziej uśmiechnięty, tym ta groza straszniejsza.

Jan Rokita

